Tom II. Nr. 3.

21. Stycznia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BOLESŁAW ŚMIAŁY
i
Święty Stanisław.

II.

W Kijowie kniaź Izasław z całego serca raczy króla i Polaków. Dniem i nocą grzmi muzyka wesoło na uciechę, a krasne i grzeczne Rusinki wabią naszych wojaków do skocznego tańca. Po ciężkich trudach wojennych pocieszna to była dla nich nowina — to też zasmakowali w niej i wnet rozpuścili się na piękne. Jużci im teraz żelazna zbroja wydała się za ciężką, tak do razu zniewieścieli w tych ustawicznych hulankach; więc się jej pozbyli, a natomiast przebrali się w bławaty i wieńce z kwiatów, jakby jakie paniątka, i słodkie popijali wino, i wesołe pieśni sobie spiewali, i zawodzili tańcem z krasnemi Rusinkami aż do upadłego — a o Polsce ani dudu. Król się nie spieszył z rozkazem, wojsko też nie napierało się cale wracać do domu. I tak przeszła jedna zima, nastało lato, a potem lecie znów zaszło na drugą zimę i na drugie lato — a nasi jak bawią się tak bawią w Kijowie.

Tymczasem w Polsce, że już tak długo króla nie było, wszystko się psuło — i straszliwy powstał nieład. Bo i nie dziw! król w państwie, to jak gospodarz na swojem gospodarstwie: niechno czeladź poczuje że pana nie ma w domu, oho! jużci zaraz dokazuje i wszystko do góry nogami wywraca. — Takci teraz w Polsce słabszy był pod rozkazem mocniejszego, a ten mocniejszy robił co mu się podobało — ztąd działo się dużo niesprawiedliwości, a poszkodowany musiał wszystko cierpliwie znosić, bo nie było króla coby się za nim ujął. Do tego złego przymieszało się jeszcze drugie: owo żony tych co popochodzili z Bolesławem na wojnę, poczęły sobie przykrzyć bez mężów. Powiadają: — Kto wie, co się tam z *naszymi* podziało na tej wojnie, że ich tak długo nie widać! — I nuż jedna drugą buntować: — Bierz ich tam kaci, kiedy się gdzieś bez pamięci zawieruszyli, to i my zapomnijmy o nich. Dziękować Bogu, jestci tu jeszcze dosyć chłopców! niechże sobie każda wybierze jednego na męża i będzie dobrze.

Hej! hej! masz tobie teraz — nasi cieszą się w Kijowie, i ani im w głowie, co się tam podziało w ich własnych domach: że się im żony pobuntowały i za innych popochodziły mężów. — Jedna tylko pomiędzy niemi była poczciwa niewiasta. Po imieniu zwała się Małgorzata, a miała za męża Mikołaja Strzemieńczyka, dziedzica na Ziębocinie co jest wieś niedaleko Krakowa. Tenże Mikołaj był jak i drudzy na wojnie z Bolesławem. Małgorzata jego z dwiema siostrami została w Ziębocinie na gospodarstwie. Toć i ją napastowali źli ludzie, aby o *swoim* zabyła i poniechała go, a innego sobie obrała męża; ale ona na takie gadanie zatykała uszy i żegnała się, jak gdyby przed samym diabłem. Nareszcie widząc że to nie żarty, i że jej na żaden raz spokoju nie dają, nie wiele myśląca ucieka z domu a z nią i obie siostry, i wszystkie trzy skryły się na wieżycy Ziębocińskiego kościółka, gdzie mocno zatarasowały drzwi przed napastnikami, tak że się już do nich dostać nie mogli. Tam dostawały jedzenie na sznurze przez okno od jednej wiernej sługi; i to trwało tak długo, aż póki pan Mikołaj z Kijowskiej nie wrócił wyprawy.

Po niewczasie dowiadują się mężowie o tej buntacyi żon.

Już tedy ani myśleć im o zabawie, ale co tchu kwapili się do domu. Przed tem jeszcze prosili króla, żeby dłużej nie zwlekał, i nazad do kraju ich poprowadził. A król im na to powiada: — Siedzieć cicho! i ani myśli o powrocie. Widocznie jakieś licho opanowało go tu w Kijowie, że siedział tak długo i jeszcze mu się nie sprzykrzyło. Wtedy wojsko, widząc że z królem nieporadna godzina i że go w żaden sposób nie potrafią namówić do domu, stało mu się nieposłusznem, i powoli jeden po drugim zaczął się wynosić cichaczem z Kijowa. Niebawem mało kto został przy królu, a tu jeszcze jak na nieszczęście Kijowianie znów się ruszają, i głowy hardo podnoszą, i z pogrzóżkami się odzywają. Śmiały był nasz Bolesław co prawda, i nie dał się byle komu postraszyć; ale z tak słabemi siłami jakie mu pozostały, trudno było się srożyć i to jeszcze w obcym kraju. Rad nie rad musiał z miasta ustąpić, i do Polski powracać.

Pierwszy to raz w życiu przydarzyło mu się, że przed kimś z placu umykał — toć go to zmartwiło nielada, i przyprowadziło do wielkiego gniewu tak na onych wojaków co go opuścili w Kijowie, jak i na te żony, co mężów swoich pozdradzały.

I mieli oni za swoje, skoro Bolesław przybył do kraju. Niech ręka Boska broni, co się tam działy za okrucieństwa! co zaś gorsze, że ani daj Boże przebłagać króla, tak srodze zaciekł się był w gniewie.

A był wtedy w Krakowie niejaki Stanisław Szczepanowski Biskupem. Ten widząc co Król dokazuje, i że nikt nie miał na tyle odwagi, aby go w gniewie pohamować, litością przejęty sam jeden podjął się tej niebezpiecznej sprawy. Począł tedy króla nachodzić w jego zamku, i wołać na niego: — Panie! opamiętaj się, a niebądź taki zawzięty i okrutny na swoich poddanych! —

Te częste nawidziny Biskupa gniewały Bolesława; powiedział mu to wręcz i nawet zakazał przychodzić więcej na zamek. Aliści w tym razie trafiła kosa na kamień: upartym był król, niemniejszego uporu był i on mąż świątobliwy, Stanisław, bo tu chodziło o życie bliźniego. Mając teraz wzbroniony przystęp do zamku, Biskup taki nie zaniechał sprawy, i gdzie tylko

króla zobaczył, w kościele, czy na ulicy, zaraz mu stawał przed oczy i ciągle napominał: — Królu, upamiętaj się! Nareszcie widząc, że dobre słowo nic nie pomaga, owszem Bolesław na przekór jeszcze się okrutniejszym stawał, wyklął go, to jest: zabronił mu bywać w kościele i śś. Sakramentów przyjmować. Tem ostatniem postępowaniem Biskup krakowski srodze oburzył króla na siebie. Jużci mu tego nie mógł podarować do śmierci i rychłą poprzysiągł zemstę. A czekał jeno sposobnej chwili, aby ją na osobie św. Stanisława wykonać.

Zanim się ta królewska zemsta sprawdziła, posłuchajcie pierwej krótkiej historyi o tym świętym Stanisławie, co jest naszej Polski patronem.

Dwie mile od Bochni, gdzie to jak wiecie sól kopią, leży wioska Szczepanów. Tam się rodził święty Stanisław z ojca Wielisława Szczepanowskiego, dziedzica tej wsi i z matki Bogny. Choć był jedynakiem, rodzice przyznaczyli go do stanu duchownego, bo taki byli panu Bogu ślub uczynili, iż pierwszego syna co się im narodzi, poświęcą służbie Bożej. Ciche, potulne to było dziecko, i od małego już samo rwało się do kościoła na nabożeństwo; w domu zaś największe miało upodobanie w ustawianiu sobie ołtarzy i przebieraniu się za księdza. Mocno się tem cieszyli rodzice i panu Bogu serdecznie dziękowali, że im dał syna tak łagodnej i cichej natury i z takiem upodobaniem do stanu, który mu oni przepisali na później.

Skoro się w domu podchował i wyrósł na chłopca, oddał go ojciec do Gniezna na nauki, gdzie się bardzo dobrze sprawował, a z tamtąd wysłano go potem do Francyi, aby się jeszcze lepiej poduczył. Po kilku latach powrócił do kraju i był w Krakowie wyświęcony na księdza. Wkrótce zasłynął po całej Polsce z świątobliwego życia i z prześlicznych kazań, jakie miewał często w kościołach krakowskich do ludu. Toż gdy umarł Biskup krakowski *Lambertus,* Stanisław został jednogłośnie wybrany na Biskupa w Krakowie. Wysoki to był stan i prawie pańskie dochody miewali tacy Biskupi, a przecie nasz Stanisław nic a nic nie spyszniał, i żył sobie jak poprzód skromnie, na-

wet ubogo, oddając większą część pieniędzy na biedne sieroty i wdowy. Niedziw, iż takim świątobliwym żywotem zaskarbił sobie łaskę Boską, która mu już za życia nadała moc czynienia cudów, jak to zaraz zobaczycie.

Nadarzyła się była Biskupowi sposobność, zakupić dobrą wieś dla kościoła od jednego szlachcica nazwiskiem Piotrowina. Aliści zaraz jakoś potem umiera Piotrowin, a krewni jego pozywają Biskupa do sądu, aby im wieś oddał, którą, jak mu zarzucają, nieprawnie posiadał. Wytoczyła się cała ta sprawa przed królem, który według ówczesnego zwyczaju sam sądy odprawiał. Biskup nie miał żadnego dowodu na piśmie, bo się nie spodziewał, że nieboszczyk tak rychło umrze, i kupił na gołe słowo. I jakże tu się obronić bez dowodu? A zaniechać sprawy jakoś nie wypada: bo raz żeby się przez to stała krzywda kościołowi, dla którego ta wieś była nabyta; a potem i wstyd Biskupowi słuchać, jako mu fałsz zadają przed światem, żeby się nie miał usprawiedliwić.

— U ludzi, myśli sobie Stanisław zafrasowany — nadaremniebym szukał pomocy; jeden tylko Bóg wszechmogący może mię poratować.

I westchnie do Boga z gorącą wiarą, że jego słusznej sprawie przybędzie cudowną łaską swoją na pomoc, a potem udaje się wprost na cmętarz, gdzie spoczywał Piotrowin, każe odkopać grób, trumnę otworzyć i dotykając trupa laską biskupią, zawoła: — W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, Piotrowinie wstań i poświadcz mi!...

I oto patrzcie! na to zaklęcie Biskupa powstaje z trumny umarły, i otoczony wielką kupą ludzi co na ten cud własnemi patrzyli oczyma, idzie do sądu na świadka. Tam przed królem przyznał Biskupowi prawdę, a krewniaków swoich ostro napomniał za to, iże w tak niesłuszną wdali się sprawę. Poczem ustąpił nazad do grobu. Nie trzeba było lepszego dowodu dla Stanisława — wygrał sprawę i został przy wsi. Krewniacy zaś nieboszczyka tak się tym wypadkiem skruszyli, że zaraz potem udali się na pokutę i aż do śmierci surowy prowadzili żywot.

Od tego czasu ubyło już może z pięć lat. Biskup wyklął Bolesława, jak to już wiemy, i odtąd stał mu się solą w oku. Znamy zaś króla jako twardy był pan, i żadnej urazy nikomu nie podarował. Tak tedy i na Stanisława zawziął się, aby go zgubić.

Miał zwyczaj Biskup, co rana chodzić na Skałkę, gdzie był kościółek świętego Michała nad Wisłą, i tamże odprawiać mszę świętą. Wiedział o tem Bolesław i razu jednego wybrał się tam wczas rano ze swoimi ludźmi, a z jego gniewnych ócz nie trudno było wyczytać, że cosik niedobrego zamyśla. — Już stał Biskup ze mszą świętą u ołtarza, gdy naraz dały się słyszeć w kościele gwałtowne kroki. Byli to posiepaki królewscy. Z dobytemi szablami wpadli do kościoła i w prost lecą ku ołtarzowi gdzie stał sprawiedliwy Biskup, aby go pochwycić. Aliści zaledwo kilka uczynili kroków, nagle ślepota ich ogarnęła tak, że zgoła nic nie widzieli przed sobą. Radzi nie radzi wycofali się z kościoła, i opowiadają to przed królem. A on na nich: — Kłamcy jesteście! zawoła i znowu napędził ich do kościoła. I stało im się po raz drugi to samo; wyszli nic nie skurawszy. Wtedy król skoczy, srogim rozpalony gniewem:

— A tchurze! a baby! zawoła strasznym głosem — w spodnice was poubierać a nie chodzić przy broni! — I sam dobywa szabli, piorunem wpada do kościoła, i od jednego zamachu zadaje śmierć męczeńską Biskupowi, klęczącemu u stóp świętego ołtarza.

Działo się to na dniu 8. Maja roku pańskiego 1079 — a policzywszy na lata, wypadnie do teraz akurat 781 lat. Na tę to pamiątkę obchodzimy 8. Maja co roku w Krakowie wielką uroczystość świętego Stanisława Męczennika.

Ciało świętego Biskupa wywłóczone z kościoła, a posiekane i porąbane na kawałki, wrzucone potem było do pobliskiej sadzawki. Tam przez trzy dni i przez trzy nocy spoczywało, a cztery wielkie orły stały przed nim na straży, w nocy zaś nad świętemi członkami cudowna światłość widzianą była.

Gdy się Papież dowiedział w Rzymie o tej zbrodni, rzucił jeszcze większą klątwę na króla i rozkazał, aby odtąd monarchów polskich nie koronowano.

Panował ci jeszcze Blesław w Polsce, ale niedługo. Pozamykano przed nim wszystkie kościoły, zbrzydzili go sobie duchowni, znienawidzili panowie, służba odstąpiła. Odtąd samotnie przemieszkiwał na zamku, nikt się tam nie pokazał aby króla zabawić, nie było komu słuchać jego rozkazów, a gdy się pojawił na ulicy, żywej nie napotkał duszy, tak wszyscy od niego stronili. Do tego jeszcze złe sumienie go gryzło wciąż a wciąż, i za dnia i w nocy nie pofolgowało; aż nareszcie Bolesław on śmiały, co się żadnego nie uląkł wroga na świecie, zastraszył się przed własnym sumieniem. Myślał nieborak, że może mu się za domem gdzieś na obczyznie polepszy. Więc porzucił Polskę i udał się zagranicę. —

Jaki go tam koniec spotkał, o tem będzie mowa w następnym numerze.

BRAT I SIOSTRA.

Nie siwa kukułka w ciemnym boru kuka,
Nie mała ptaszyna gniazdka sobie szuka:
Z miłym bratem siostra rozmawia zdaleka —

Co słówko powie,
Wiatr uchem łowi,
Miłego słówka czeka.

— Bracie mój bracie, — gołąbku szary,
Przyjdź pod ten jawor stary,
Przyjdź do mnie, pociesz nieco!
Bo widzisz, łzy lecą.

— Siostrzyczko moja, — siostro rodzona,
Ty gołąbeczko młoda,
Jakżeż ja przyjdę? daleka strona,
Góry, lasy i woda!...

— Przeleć sokołem, lasy wertepy,
Przepłyń łabędziem przez wody duże,
Przebież przepiórką szerokie stepy,
Gołąbkiem spadnij na me podwórze;

Rozwesel serce twoje, nie czyje,
    Co mi tak bije.

Cudze dziewczyny z cerkwi wychodzą,
    To śmieją się, to komoszą,
Jako jaskółki, swarzą się, godzą,
    Na kołacz ludzi proszą.

A mnie nie proszą na kołacz biały,
    Na chleb, na sól gościnną —
Dawniej mnie siostrą rodzoną zwały,
    Takby to być powinno;

Dziś uciekają jak od zarazy,
    Aż mi łza z oczu ściekła —
Drużki nie drużki, to zimne głazy,
    Rodzina się wyrzekła.

T. L.

ŁASKA ZACZAROWANA.

Opowiedział Walenty ze Smolnicy.

Długoby pochodził po świecie, nimby w jednej wsi znalazł dwóch ludzi, którymby się tak jakoś wszystko spólnie składało w życiu, jak Wawrzkowi Surmie i Bartkowi Kwiczole.

Obadwaj w jednym porodzili się roku, w jednym czasie pobrali żony i to siostry obie, w jednym roku odumarli ich starzy i w jednej porze obadwaj stanęli na swojem gospodarstwie.

A też i gospodarstwo obydwóch nielada — sołtysowskie grunta co się zowie, zagrody i budynki jak na pańskim folwarku, a chudoby i dobytku jak na dziesięć mil poszukać.

Nie darmo dziwili się też ludzie, że im się tak jakoś wszystko razem splotło do kupy, a oni sami bacząc nato, rzekli do siebie:

— Jesteśmy sobie szwagrami, w jednym czasie i z jednakim dobytkiem rozpoczynamy gospodarstwo. Starajmyż się pokazać ludziom, kto z nas lepszy gospodarz.

— Tak! zawołał Bartek Kwiczoła — próbujmy, gospodarujmy a za rok za dwa porachujemy się kto więcej przysporzył, i komu Bóg lepiej pobłogosławił.

— Zgoda — odpowiedział Wawrzek Surma — obadwaj chytajmy się jak możemy, a przekonamy się nawzajem.

I jak mówili tak też sobie postąpili. Rzucili się obadwaj do gospodarstwa, jeden chciał prześcignąć drugiego.

I aż dziw bierze jaki to gospodarz Bartek Kwiczoła, Matko Boża! toć to się zabrał do pracy. Nim jeszcze zadnieje na dalekiem niebie, on już na nogach, i już przy robocie wedle potrzeby. Trzech najmytów trzyma, a żaden nie dorówna mu w pracy, bo nawet wszyscy trzej razem nie zrobią tyle, co on sam jeden choć gospodarz.

Przy młóćbie toć parobcy jeszcze kopy nie omłócili, a on już drugą kończy, a podczas żniwa na polu, to niech i dwudziestu ma żeńców, zapędzi się sam pewno daleko naprzód, jakby go nieprzymierzając dziesięciu nadstawników pędziło ognistemi nahajami.

A jak przy młóćbie i przy żniwie, tak i we wszystkiem, przy sianokosach, siejbie, orce i wszystkiem innem.

I niedość nawet że tak ciężko trudzi się i pracuje, ale najpotrzebniejszego sobie odmawia, od gęby odejmuje, aby tylko włożyć w gospodarstwo, przysporzyć dobytku.

I otużci dziw nad dziwami, uroki, czy czary, czy jakieś inne złe nasłanie! choć tak ciężko pracuje, że kiep wół i muł przeciw niemu, choć tak skąpi że nawet w niedzielę, w dniu odpoczynku żadnej a żadnej nie pozwoli sobie uciechy, jakoś przecie w gospodarstwie nie idzie mu glaźno od ręki. Ot, Bogiem a prawdą nie tylko że nic nie przyrobił, ale jak sobie sąsiedzi szeptają na ucho, nawet ubywać zaczyna ojcowizny. Żnie, młóci, wieje, sieje, zwozi, chowa, zamyka, a jakoś i w stodole niepełno, i w spichrzu nie wielkie zbytki, pcha w bydło co się wlezie, a żal się Boże: woły pomizerniały i koniom sterczą żebra jak żydowskim kandybom.

— Co w tem za przyczyna? — pytają ludzie.

— Co w tem za licho? — narzeka Bartek Kwiczoła.

Nie tak tymczasem dzieje się z Wawrzkiem Surmą. Fiu fiu, mospanie! jak mówi stary organista: u niego stogi i zasieki pną się aż powyż topoli, w spichrzu mucha miejsca nie znajdzie, bydło, konie, świnie, na kloc jak się patrzy.

A przecież Wawrzek Surma ani o połowę tak ciężko nie trudzi się, nie mozoli, nie pracuje jak poczciwy Bartek Kwiczoła. Trzyma sobie także trzech najmytów, ale mu się ani śni prześcigać ich w pracy; najmuje także po dwudziestu żeńców, ale za nicby się nie zapędzał naprzód. Prawda, że się nie leni, nie zasypia białego dnia, z często gęsta sam do wszystkiego przykłada ręki, alić się znowu wcale nie wysila, nie forsuje, zwyczajnie jak gospodarz całą gębą, co mu na niczem nie zbywa. A przytem niecnota i niczego sobie nie żałuje, nie skąpi, opływa we wszystko, a do pierogów z syrem i śmietaną tak się już przyzwyczaił, że się ani obliże po obiedzie.

I zkąd się bierze to dziwo, że jemu wiedzie się o tyle lepiej, o ile gorzej Bartkowi?

Po dwóch latach własnego gospodarstwa zeszli się z sobą jakoś w niedzielę po południu.

Biedny Bartek zgarbił się z ciężkiej pracy we dwoje, schudł i zmizerniał jak szczypa, a wyglądał o dziesięć lat starszy, niż był rzeczywiście.

Przeciwnie aż lubo spojrzeć na Wawrzka Surmę.

Twarz miał okrągłą i pocułowatą jak paska wielkanocna, a i ładnie wyszywany i złocistemi gwoździkami wybijany rzemień miał co obejmować w pasie. Krótko mówiąc, Wawrzek Surma wyglądał sobie jak prawdziwy sołtys zamożny, co nie tylko sam opływa we wszystko po uszy, ale jeszcze i kilku innych miałby czem zaopatrzyć.

Rzekł też do niego Bartek Kwiczoła:

— Widzę, mój Wawrzku, żeś mię we wszystkiem prześcignął; ale gniewaj się albo nie, powiem ci szczerze, że mi twoje szczęście i powodzenie zdaje się trochę podejrzanem.

— Jakto podejrzanem? — zawołał Wawrzek — przecieżem pana Boga nie przekupił, ani się diabłu nie zapisał.

Na to Bartek:

— Toć tego nie mówię, ale wszystko mi się zdaje, że

musisz mieć jakiś tajemny sposób, jakto nie pracując ciężko, przyjść do majątku i pomnażać dobytek! bo ot spojrzyj tylko na moje ręce, ciało z pracy od kości odstaje, krzątam, ubiegam, tuptam się, co mi sił starczy, od gęby odejmuję, snu oczom odmawiam i przecież ani rusz mi postąpić dalej!

Wawrzek Surma zaśmiał się głośno, a potem zamyślił się czegoś głęboko, i ozwał się wreszcie:

— Prawda ci w tem i potroszę! Mniej ciężko pracuję niż ty, a dzięki Bogu jakoś mi idzie i powoli rośnie gospodarstwo. Alić to już takie szczęście moje.

Bartek Kwiczoła machnął tylko ręką.

— Aj, nie twoje, nie twoje, ale jakiegoś sposobu tajnego, co go masz zkądsić.

Wawrzek poskrobał się za ucho, i znowu zamyślił czegoś głęboko, a potem pokiwał głową i uśmiechnąwszy się z lekka, rzekł do swego rówiennika:

— No, kiedy tak już nastajesz, to ci wyznam szczerze wszystko. Mamci naprawdę taki sposób.

Bartek oboma rękami chwycił się za głowę, i nuż błagać i zaklinać Wawrzka, zkąd wziął tego sposobu, i jaki on jest właściwie.

Wawrzek wziął go na stronę, i pokazując mu swoją zwyczajną laskę z wiśniowego drzewa, rzekł zniżonym głosem:

— Ot widzisz bratku, ta laska jest zaczarowana.

Bartek aż o krok odskoczył tak się przestraszył, a potem wypatrzył się wybałuszonemi oczyma i na Wawrzka samego i na jego laskę niesumowitą.

A Wawrzek mówi dalej:

— Otóż widzisz, zamiast jak ty pracować naspół z najmytami na jednym tylko miejscu, wypuszczając tymczasem z pod oka inne gospodarstwo, ja muszę z tą moją laską przynajmniej rano i wieczór obejść wszystkie kąty zagrody, stajni, zwiedzić stodołę, spichlerz, muszę z nią zajrzeć wszędzie, gdzie tylko się coś robi na polu, a ona mi przynosi takie szczęście.

Bartek przybliżył się do cudownej laski, i zaczął ją oglądać ze wszystkich stron.

— I nic więcej, tylko to potrzebujesz robić ze swoją laską? zawołał.

— Ani o włosek więcej — odpowiedział Wawrzek.

— A dla duszy to nic nie szkodzi? — pytał dalej Bartek.

Wawrzek wzruszył ramionami.

— Toć nie widzisz, że ja z tą laską chodzę do kościoła, i spowiadam się przed księdzem proboszczem?...

Bartek tedy nuż dopytywać, zkąd przyszedł do tej laski cudownej.

A Wawrzek na to:

— Już ci tego nie mogę żadną miarą powiedzieć, ale abyś wiedział jakim dla ciebie szczery, pożyczę ci tej laski na cały rok, a przekonaj się sam, jakie cudowne w niej siły.

Bartek mało z radości ze skóry nie wyskoczył, i nie mógł się dość nadziękować dobremu przyjacielowi. Zaraz zasię nazajutrz postanowił, jak mu to przykazał Wawrzek, obejść wszystkie kąty gospodarstwa i wszystkie roboty na polu z laską zaczarowaną.

Rychło świt miał z pługiem jechać na pole, ale naprzód poszedł do stajen. I cóż widzi! oto krowy źle poprzywiązywane, mało się nie zakłują z sobą, a pastuch spi sobie w jak najlepsze bo wiedział, że gospodarz skoro dzień, zajdzie na pole a nie zajrzy do obory. Ale się pomylił tym razem, dostał zaczarowaną laską po grzbiecie, i musiał zaraz wypędzić bydło na paszę.

Bartek poszedł tymczasem do stodoły; patrzy a wszystkie gęsi, kury, kaczki i kilkoro nierogacizny grzebie i skubie pszenicę że aż miło. Nagniewał się znowu gospodarz, i pierwszy raz dopiero zobaczył, że w stodole taka wielka dziura, którędy świnie i kury pchały się do środka, i robiły szkodę. Postanowił zaraz zabić dziurę, a sam idzie koło spichrza. Tu go mało diabli nie wezmą. Widzi że w jednej ścianie odsuwa się tarcica, a parobek Grzela cały wór zboża wynosi na plecach. Ledwie tego złapał i ukarał należycie, ażci widzi że drugi parobek Jaśko, zamiast koniom wysypać obrok do żłobu, wsypał je do sporej torby i pędzi z tem do żyda.

Nie pozostało nic biednemu Bartkowi, jak zaraz na cztery wiatry ponapędzać parobków, i kazać rychło naprawiać ściany w spichlerzu.

Poszedł jeszcze co prędzej na pole, gdzie miał siać żyto trzeci parobek, i zastaje że zamiast dwóch, wysiał tylko jeden korzecz, a drugi sprzedawał przejeżdżającemu przy gościńcu żydowi.

Bartek włosy sobie z głowy rwał.

— To tak się działo zawsze, a ja się niczego nie domyślałem. O cudowna laska!

I odebrawszy skradziony wór, wysiał prędko resztę zboża, a sam pobiegł do robotników co kopali kartofle.

Przychodzi i zastaje, że wszyscy śpią jak zabici.

I znowu Bartek zawołał: O cudowna laska!

I w samej rzeczy była to cudowna laska, bo nie minął rok, a inny ład w gospodarstwie Bartka i wszystko naprawiło się z gruntu. Zapełniła się stodoła, zapełnił spichlerz, a bydło i konie nie ustępują już Wawrzkowym, ba nawet sam Bartek wyprostował się, odmłodniał i nabrał ciała.

I dopiero po roku rzekł mu przemyślny Wawrzek:

— Widzisz bracie, że więcej znaczy nadzór, pilność i baczne oko gospodarza, niż najcięższa z jego strony praca. Lepiej wyjdzie zamożny gospodarz jak wszystkiego dojrzy, doglądnie, dobrze zarządzi, niż kiedy tylko jak ślepy jednej chwyci się roboty, i na resztę nie patrzy. Niech się nie leni i sam do tego i owego przyłożyć ręki — ale nadzór, czujność, to grunt!

I powiedział mu teraz że lasce tej ani się śniło być zaczarowaną, ot była to sobie zwyczajna palica jak każda inna, ale Wawrzek umyślnie go tak zaszedł z mańki, aby go tem snadniej przekonać o wszystkiem.

Chociaż dowiedział się Bartek, że laska pożyczona nie jest wcale zaczarowana, toć zawsze wyprosił ją sobie na pamiątkę od Wawrzka i zachował ją do samej swej śmierci.

Waszemu Zdrowiu na pożytek.

(Dokończenie.)

Na rany mniejsze albo na gojące się, i które się zagoić same z siebie nie chcą, łatwy jest sposób. — Najprzód ranę trzeba przemywać letniem mlekiem na wpół z wodą, potem zaś zrób sobie sam w skorupie maść następującą: — Weź białej żywicy z drzewa, ale czystej bez kory i prochów, roztop ją w skorupie na ogniu, potem dodaj dwa razy tyle żółtego wosku i niech się też roztopi razem z tą żywicą. Gdy dobrze patyczkiem wymięszasz, nalej na to drugie tyle oliwy i dobrze na ogniu wymięszaj. Dopiero wystudź i miej sobie tę maść od przypadku dla siebie i dla drugich, bo jak tę maść przez czas jakiś przykładać będziesz, to ci się rana zagoi. — Topić zaś trzeba na węglikaeh a nie na płomieniu, boby ci się maść zapaliła i wszystkobyś zepsuł.

Teraz do was się kobiety odzywam, a upominam iżby każda co rok uzbierała, wysuszyła i miała w pogotowiu następujące zioła na różne choroby przydatne:

1. Rumianek polny i ogrodowy (czyli rzymski).
2. Miętę pieprzową, którą w ogrodzie sadzić trzeba.
3. Boże drzewko także w ogrodzie sadzić.
4. Barwinek na kołtuna, także w ogrodzie sadzić.
5. Melissę, także w ogrodzie sadzić.
6. Józefek zbierać lub sadzić.
7. Lewandę sadzić w ogrodzie.
8. Kwiat bzowy biały pospolity zbierać i suszyć.
9. Kwiat lipowy zbierać, suszyć i mieć kilka kawałków samego drzewa, jakby było potrzeba upalić węgla na rany.
10. Kminku na łące uzbierać i ususzyć.
11. Dziewanny uzbierać i ususzyć, bo to dobre dawać pić dzieciom na kaszel, a także rany zastarzałe wymywać.

12. Kwiatu czerwonego polnego maku, uzbierać i ususzyć, bo tego szczyptę można dodać do dziewanny i dawać pić dzieciom na kaszel. —
13. Peżu uzbierać, wypłukać i wysuszyć, bo to dobre na napój czyszczący żołądek i całe ciało. —
14. Kwiatu szlazowego uzbierać i ususzyć, bo to dobre jest ugotowane w wodzie na kaszel.
15. Korzenia szlazowego uzbierać, wypłukać, pokrajać drobno i wysuszyć, bo to jest bardzo pomocne w wielu wypadkach. —

Otóż w mniejszych słabościach śmiało idźcie po radę do księdza, albo do dworu; tam wam powiedzą jak i kiedy tych ziół używać macie — potrzeba jeno, aby każda z was miała je na strychu porządnie schowane, lub w komorze w suchem miejscu umieszczone. W ważniejszych zaś razach nie spuszczajcie się już na rady ludzi co się na tem nie wiele znają, tylko odżałujcie na doktora i aptekę, a ratujcie życie i zdrowie, za które Bogu jesteście odpowiedzialni. — Kiedy ci się wóz albo pług zepsuje, to nie idziesz do kumoszki tylko do kowala; a gdy ci się twoje własne ciało i zdrowie popsuje, to idziesz do głupiej siąsiady, albo do lada jakiej baby, zamiast iść do doktora, który jest od tego majstrem. — Przecież twoje życie droższem ci być powinno od wozu!

Nie bądźcież więc samobójcami własnymi, zaniedbując się w chorobie, ani zabójcami drugich, dając złe i niestosowne rady; lecz słuchajcie świętego Pawła, który mówi, iż się doktorowi należy posłuszeństwo i cześć dla nauki jego. —

Niech wam Bóg użycza zdrowia!

RÓŻNOŚCI.

Jakto i w samem nieszczęściu jeszcze bywa szczęście. Na drodze między Warszawą a Częstochową leży miasto Piotrków. Otóż nieopodal tego miasta na *kolei żelaznej* wydarzył się w roku 1859 w miesiącu Październiku taki wypadek. Jechał sobie chłopek jednokónką, wiozący drzewo na sprzedaż do Piotrkowa. Po drodze spił się niecnota jak *bela* i zasnął na furze, a tymczasem konisko zboczył z drogi i wjechał na kolej

żelazną. Na takiej *kolei* trzeba wiedzieć są kładzione szyny żelazne, po których maszyna pędzi. Na tych szynach utknął wóz; konik czując że go coś zatrzymało, przystanął w miejscu i zwiesiwszy smutnie głowę, stał sobie spokojnie w poprzek drogi. Jak na nieszczęście noc była ciemna że wykól oczy. Strażnik co miał pilnować tej części, podobno zasnął w budzie, więc nie zauważał co się tam działo i wozu nie uprzątnął z drogi. A tymczasem od Warszawy pędzi maszyna jak sto diabłów. Wprawdzie przy takiej maszynie kiedy się nocą puszcza, są na przodzie urządzone latarnie, aby pokazywały, czy nie ma jakiej zawady na kolei. I pokazałyć one co prawda, jeno że już za późno i niepodobna było tak prędko powstrzymać maszynę, która z całym zamachem uderza na wóz i w drobne go rozbija kawałki. Zaraz potem zatrzymano maszynę, i pozłazili ludzie co tam przy niej byli, aby się przekonać co za nieszczęście się stało. I znachodzą konia żywego, widać że go nie zachwyciła maszyna, więc ocalał; i widzą wóz rozsypany na drobne kawałki i drzewo rozmiecone wszędy po drodze — ale o człowieku nie było ani słychu dychu; co się naszukali, czy bodaj jakiej kosteczki po nim nie znajdą — ani rusz!... Tak nareszcie po długiej szukaninie zabrali konia ze sobą i puścili się dalej do Piotrkowa. Już dzień się robił kiedy tam przybyli. I jakież było ich zdziwienie, gdy naraz widzą jakiegoś człeka na przodku maszyny przy latarniach śpiącego. Budzą go, pytają kto jest i zkąd się tu wziął śpiący na maszynie?... Chłopisko wybałuszył na nich oczy, i na razie ani słowa bąknąć nie umiał, tak mocno się tem zmięszał. Aż po dobrej chwili przyszedłszy do siebie, wyznał że jest gospodarzem z tej i tej wsi, że jechał z furką drzewa o jednym koniu do Piotrkowa, że się był po drodze trochę napił i zasnął na furze; ale co się z nim dalej stało: bij, zabij on sam o tem nie wiedział. Teraz oni mu opowiedzieli jak było, i że wszystko utracił, jeno koń mu żyw pozostał. Ale w jaki sposób on sam ocalał? tego już mu nikt powiedzieć nie umiał.

Zdarzenie to prawdziwe pokazuje nam, jak to i w nieszczęściu bywa czasami szczęście — i z drugiej strony: jak łatwo przez tę *wódkę bałamutkę* nabawić się można kłopotu a nawet i śmierci.

Słowa prawdy.

U nas tak mówią: „po chrzcie idzie wiara,
Po głowie czeladź — a po grzechu kara —
Po biedzie statek — obyczaj po rodzie —
Po pracy spokój — a już chleb po głodzie.
Kto się bić lubi, tego i pobiją —
Kto często krzyczy, tego nikt nie słucha —
Kto się nie myje, tego nie obmyją;
Gdzie nie wład okiem, tam już dołóż ucha —
Gdzie nie dołożyż ni ręką ni okiem,
Tam nadstaw grzbietu albo dołóż workiem.“

W. P.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**